

Drzewo

Kupiłem mieszkanie. Mały domek po starym właścicielu wymagał kapitalnego remontu, więc kiedy wracałem z pracy, zaczynało się zdrapywanie ścian, tynkowanie, gipsowanie, malowanie, zrywanie desek w podłodze, szklenie okien... W skrócie – wszystko od nowa.

Gdy mieszkanie już jako tako wyglądało, kiedy zostało w pełniumeblowane, z przykrością zauważyłem, że przeoczyłem pewną ważną rzecz, a mianowicie drzewo.

Wraz z kupnem domku otrzymałem również pięć arów ziemi i właśnie na tej ziemi rosła sosna, całkowicie zasłaniająca dostęp światła do pokoju gościnnego.

Jako właściciel ziemi, rościłem sobie prawo do decydowania o losie drzew na niej rosnących. Postanowiłem ściąć sosnę. Nie miałem piły, więc udałem się do sąsiadki.



Sosna. Fot. Ryszard Kulik

- Po co panu, jeśli mogę zapytać? – zapytała sąsiadka.
- Zetnę tę sosnę – odpowiedziałem całkiem zwyczajnie. – Zasłania mi widok w pokoju gościnnym.
- A ma pan zezwolenie z gminy?

Widząc moje zdziwienie, sąsiadka po dość długiej przemowie wyjaśniła mi, że owszem, ziemia moja, lecz drzewa na niej rosące już nie. Muszę złożyć podanie, umotywować zamiar ścięcia sosny i czekać na decyzję.

Sąsiadka pomogła ułożyć treść podania. Ładnie przepisała na maszynie. Na koniec dała mi radę:

- Niech pan po drodze kupi wódeczkę, to powinno przyspieszyć i nadać bieg sprawie.

Nigdy nie dawałem łapówek, a i sprawa wydała mi się tak błaha, więc żeby zaraz dawać w łapę? Bzdura! Zresztą, miałem niepodważalny argument: wilgoć w mieszkaniu.

W gminie wskazano mi odpowiednie drzwi. Odnalazłem człowieka do ww. spraw. Człowiek był, przynajmniej, bardzo uprzejmy. Zaproponował herbatkę, wczuł się w moje trudne położenie. W duchu śmiałem się z sąsiadki przewrażliwionej na punkcie biurokracji. Co prawda, człowiek z gminy zaczął okazywać pewne niepokojące symptomy. A to otwierał szufladę, a to wyczekująco milczał. Pozostawił książkę na biurku i musiał gdzieś na chwilę wyjść, a po powrocie zaglądał, niby to od niechcenia, do tejże książki. Co tam dużo gadać – liczył na habory.

Kiedy wszystkie jego starania okazały się daremne, rzekł:

- Owszem, udzielę panu zezwolenia na ścięcie drzewa, lecz dopiero wtedy, gdy to drzewo uschnie. Rozumie pan, ochrona środowiska. Ekologia.

Wróciłem do domu. Patrzyłem przez okno, wypatrując nielicznych promyków słońca, przedzierających się poprzez gęstą koronę drzewa. Nie ma żartów, pomyślałem. Pamiętam jak kiedyś, gdy pracowałem w Niemczech, dźwigowy zahaczył wyciętnikiem o kwitnącą lipę i złamał ją w pół. Natychmiast pojawiła się policja, znaleziono świadków, spisano protokół. Wieczorem

rzeczoznawca wykonał kilka zdjęć. Słowem, ogólne zamieszanie. Później dowiedziałem się, że firma budowlana musiała zapłacić miastu siedem tysięcy marek odszkodowania.

Po tygodniu zapomniałem o godności osobistej. Kiedyś musi być ten pierwszy raz – kupiłem wódkę. Przed wyjściem do gminy, wstąpiłem do sąsiadki.

- Teraz to nie ma pan po co tam iść – stwierdziła. – Trzeba tak było zrobić za pierwszym razem, jak panu radziłam. Teraz to nawet skrzynka wódki nie pomoże. Urzędasy mają swój honor.

- I co ja mam teraz zrobić? – powiedziałem zrezygnowany. – Zapalać w dzień światło?

Sąsiadka chwilę pomyślała. Przeprosiła na momencik. W łazience poprawiła makijaż, przeczesała włosy...

- Idziemy – powiedziała. – Niech pan zabierze ze sobą tę butelkę.

Sąsiadka skontaktowała mnie z panem Mietkiem. W kilku zdaniach przedstawiła moje trudne do pozazdroszczenia położenie, poprosiła w moim imieniu o pomoc i skinieniem głowy poleciła mi dać panu Mietkowi wódkę.

- No, to ja już sobie pójdę – oznajmiła, zostawiając mnie sam na sam z panem Mietkiem.

- Dobra, chodź pan – powiedział, chowając butelkę do kredensu.

Poszliśmy do małej fabryczki. Z jej komina ulatniał się przeraźliwie ostry dym w kolorze czerwonym. Urzędnikom z gminy ten dym, widać, nie przeszkadzał. Może kiedyś... lecz teraz nie... O nie, na pewno już nie. „Rozumie pan, ochrona środowiska. Ekologia”.

Pan Mietek chciał rozmawiać z panem Grzesiem.

Pan Grześ przyszedł, przywitał się.

- Ten pan – wskazał na mnie pan Mietek – potrzebuje tego waszego specyfiku. Tych waszych odpadów.

- Duże jest to drzewo? – zapytał pan Grześ.

- Gdzieś do drugiego piętra.

„A więc – pomyślałem – ładne klocki. Nie tylko ja mam kłopoty z wycięciem drzewa, bo inaczej skąd by wiedział, że chodzi o drzewo?!”.

- Pięć litrów powinno wystarczyć. Zaczekajcie.

Za moment przyniósł plastikowy kanister z jakimś płynem.

- Pod drzewem wykopać dołek na dwa szpadle – instruował. – Co wieczór wlewać po litrze. Zawsze dołek zakopać, bo będzie czuć. I żeby dzieci się tam nie kręciły, bo się potrują. W promieniu dziesięciu metrów od dołka nie uprawiać żadnych warzyw. Jeśli już pan posadził – wyrwać i wyrzucić. Kanister trzymać w piwnicy. Broń Boże w mieszkaniu!

- A czy na pewno poskutkuje? – zapytałem niepewnie.

- Jasne – zaśmiał się pan Grześ. – Ileśmy już tym ścierwem lasów wytruli, to się, panie, w głowie nie

mieści. Żadne wysypisko tego nie chce przyjmować. Sto procent gwarancji.

Minął już miesiąc. Pełny kanister „ścierwa” leży w piwnicy.

Ja siedzę sobie wygodnie w fotelu i patrzę na to moje drzewo. Kołysze się ono w obie strony, jakby wykonywało jakiś prehistoryczny, magiczny taniec. A niech tam, niech sobie żyje. Poczekam jeszcze ze sto lat, może samo uschnie? Albo „mała fabryczka” przeobrazi się w „Dużą Fabrykę”, z jeszcze większą ilością czerwonego dymu! A wtedy wszystkie drzewa w okolicy powymierają, łącznie z moim.

Robert Litwińczuk